TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 5. *Chicago, Ills., 29 Lipca, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

Zamikł król na chwilę i obracając się ku Maryi rzekł do niej:

— Przybliż się piękne dziecię niech się ucieszę widokiem córki jednego z najmilszych moich, który niestety! nie wrócił ze mną; pewną być możesz mojej królewskiej łaski, ja w każdym razie zastąpię godnego ojca, któregoś straciła.

A postrzegłszy, że dwie łez krople zasnuły piękne Maryi powieki, dodał:

— Te łzy cię zdobią, moja panno, i wyższą ci jeszcze cenę w moich oczach nadają.

Rozrzewnienie Maryi nie dozwoliło jej odpowiedzieć słowem lub ukłonem na pochlebne króla wyrazy; stała na miejscu i nie wiedziała co ma przedsięwziąść, gdy księżna wojewodzina wileńska, wielce dla niej przychylna, przyjacielską rękę ku niej wyciągnęła i ściskając jej drżące dłonie, ulgę przyniosła strapieniu, tak, że Marya z wdzięcznem uczuciem podaną rękę ucałowała.

Przychylne zdanie ojca i przyjazny udział ciotki, wzbudziły uwagę księcia Jakóba: spojrzał na Maryą i spotkał jej anielskie wejrzenie słodyczy i szlachetności pełne. Pierwszy raz od swego pobytu u dworu tkliwym udziałem własnego uczucia uszczęśliwiona Marya, znalazła w wejrzeniu młodego księcia wyraz uprzejmości, który ją słodkiem uczuciem przejął, zwłaszcza że waleczność przez niego w tak młodym wieku okazana czyniła otuchę, iż syn godnym kiedyś będzie tak wielkiego ojca. Oddaliła się zwolna od królewskiego stołu, i nabrawszy później więcej odwagi, z ujmującą wszystkich zręcznością obowiązki swej służby do końca wieczerzy pełniła.

ROZDZIAŁ VI.

Rycerstwo w zbroi sypiało, —
Trąbą wzbudzone do chwały
Lasy przebyło i skały
Za bóztwem swojem, za chwałą.

Trzodkowie. Brodziński.

Gdy król po powrocie swoim do kraju stanął był w Lubowli, gdzie większą część wojska swego na zimowe leże rozesłał, i te tylko oddziały przy sobie zostawił, z któremi uroczysty wjazd do Krakowa miał odprawić, — dostał się jednej rocie lekkich znaków rozkaz udania się do Przemyśla. Chorągwi tej przywodził Rotmistrz szczególną odnaczający się walecznością, nazwiskiem Damian Ruszczyc, rodem z lubelskiego województwa, tam dobra dziedziczne posiadający, i rachujący dla zaszczytu starszeństwo w chorągwi hussarskiej, pod znakiem księcia Jakóba.

Byłto człowiek średniego wieku, wysokiego wzrostu i przytem tej duszy, której polska suknia najlepiej przystoi. Twarz jego męzka nie miała żadnych powabów gładkiego młokosa, który się niewiastom przypodobać usiłuje; nie malowała się na niej owa obłudna słodycz, która niedoświadczonych częstokroć łudzi, nie osiadał na jego ustach miły uśmiech, pochlebstwa zwykłe poprzedzający. Lecz wzniosłe i otwarte czoło, brew czarna wązko lecz mocno nad okiem naznaczona, oczy zawsze wesołe, pogodne i śmiało tylko patrzeć umiejące, nos blizną naznaczony lecz niezekształcony, i podgalany wąsik czarny, pod którym przy mówieniu dwa rzędy zębów białością odbijały; takie były rysy rotmistrza, w których dobrego żołnierza i poczciwego człowieka mogłeś był wyczytać.

— Jak w sercu tak i w mowie, — było pierwszem prawidłem jego życia, od którego nigdy nie odstępował, wtedy nawet, kiedy mu z wyższymi mówić przychodziło.

— Mój zaszczyt i moje zalety ze mnie samego i nikt mi nic ująć ani dodać nie może.

— Oto było często powtarzane zdanie, którem opoważniał wrodzoną sobie śmiałość, zuchwalstwem od niektórych możniejszych magnatów zwaną. Wierny do zgonu temu, komu miłość lub przyjaźń poświęcił, należał on do tych sług monarszych, których królowie polscy najpiękniejszem nazwiskiem: „swoich wiernych" oznaczali. Dawszy wielekroć dowody swego męztwa, niczem nieustraszony gdzie rozkaz króla wypełnić wypadało, niósł on nieraz w oczach jego życie swoje na ofiarę nie pragnąc innej nagrody nad podziękę króla, lub ścieśnienie od niego ręki.

— Ruszczycu! — rzekł do niego król w Lubowli, — Waść zapewnie wolałbyś nie należeć do tryumfalnego wjazdu w Krakowie, bo jeżeli Mars pod Wiedeń, to cię Cytera pod Lwów ciągnie.

— Ja pójdę gdzie W. R. Mość rozkażesz, — odparł Ruszczyc stojąc niewzruszony przed swoją chorągwią, przy której król właśnie przeglądając wojsko nieco się zatrzymał.

— A cóżbyto na to Podskarbianka powiedziała? — rzekł król z uśmiechem, — gdybyś nie pospieszył upaść jej do nóg.

— Przed Bogiem tylko i królem, — rzekł Ruszczyc, — gdy łaski lub przebaczenia błagać mamy, upaść można na kolana, przed kobietą nigdy.

— Ale Waść dla tego poprowadzisz chorągiew swoją do Przemyśla, — rzekł król wesoło, — a tam może przypadnie ci ochota pospieszyć do twojej Omfali: wtedy zdasz dowództwo namiestnikowi, pojedziesz gdzie zechcesz, a jak będziesz potrzebował pomocy, to śmiało do mnie się udaj.

Skłonił szablę Ruszczyc z uszanowaniem, a król przejechał do innych oddziałów wojska.

Gdy stosownie do odebranego rozkazu Rotmistrz stanął w przeznaczonem sobie mieście, dał sobie i ludziom dwa dni wczasu; trzeciego

kazał wystąpić chorągwi w celu złożenia dzięków Najwyższemu, za pomyślność wyprawy i ocalenie wojaków na łono ojczyzny powróconych, oraz w celu zaniesienia modłów za współbraci poległych. Potem zgromadził chorągiew na rynku miasta, uszykował ją w czworobok, sam stanął w środku mając przy sobie swego namiestnika i rzekł do zgromadzonych:

— Bracia! towarzysze broni! zdaję dowództwo nad wami temu mnie wielce mościwemu panu namiestnikowi, jemu odtąd winniście ufność i posłuszeństwo; co on rozkaże, niech to będzie dla was tak jakby król i ja rozkazał. Gdy się wasze trąby i kotły na nową wojnę odezwą, będziecie mię znowu widzieć na waszem czele.

Wyprawiwszy potem żołnierską ucztę, dla całej starszyzny chorągwi, wymknął się z pomiędzy wszystkich i w towarzystwie dwóch szeregowców wyjechał drogą ku Lwowu, wtedy właśnie kiedy po raz dziesiąty zdrowie jego pili.

Stanąwszy w mieście, z którego już tylko trzy mile do domu podkomorstwa było, pomyślał dopiero o tem, iżby wypadało powabniejszą przybrać powierzchowność, chcąc się pokazać przed narzeczoną swoją. Każdy się domyśli, że tą narzeczoną była Marya, a Damian Ruszczyc tym samym rotmistrzem, o którym sąsiadki podkomorzyny i sama Marya wspominały. Gdy tedy zaczął rozmyślać nad tem, jak ma wystąpić, aby się przypodobać pannie, którą znał mało wprawdzie, lecz którą wielce szanował dla ojca, i której tem bardziej chciał dochować danego słowa, że właśnie po nim została sierotą, gdy, mówię, siedząc przed wysoko palącym się ogniem nad tem rozmyślał; wszedł zasłużony i ulubiony szeregowiec jego Kulik, cały wymyty i wyświeżony, z hełmem na głowie, w obcisłym kaftanie z wilczej skóry zamiast pancerza, i z przypiętem z tyłu skrzydłem, przy szabli, z kopią w ręku, która aż do pułapu sięgała; stanął poważnie przed panem swoim, jakby się był na jego rozkaz stawił.

— A ty czego! — zawołał Ruszczyc, — i do tego w znakach szeregowca husarskiego, czyś oszalał, czyś się upił?

— Albo co? czy to źle tak? — rzekł spokojnie Kulik.

— Dobrze, ale po co? kto ci kazał przywdziać tę zbroję?

— Albož to pan Rotmistrz nie po husarsku zajedzie do panny podskarbianki? przecież niedarmo mamy zaszczyt należeć do tego znaku, przecież nie w zbroi lekkiej chorągwi, z takiej wyprawy, do takiego domu zajedziemy!

— Dobrze mówisz, — rzekł Ruszczyc, powstał, zbliżył się do niego, ścisnął mu więcej kaftan skórzany, przypiął mocniej skrzydło, poprawił szyszaka na głowie; — dobrze mówisz, powtórzył, — wystąpię po hussarsku.

W skutku takiego postanowienia, rozkazał wydobyć cały strój husarski, który przez wojnę i długie przewożenie z miejsca na miejsce, stracił nie jednę z ozdób swoich; dla tego zajął się nasz rotmistrz obejrzeniem wszystkich szczegółów tego stroju, aby jak módz dopełnić to, czego brakowało.

— Gdzież jest moja kulbaka i rząd cały na konia, któregom dawnej używał? — zapytał Kulika.

— O! dawnom je rzucił, bo było co lepszego zabierać z obozu tureckiego; już ja konia tak przybiorę, że aż ludzie na ulicy stawać będą. Jak na niego włożę rząd baszy tureckiego, cały srebrny przezłocisty kamieniami nasadzony, jak mu zawieszę przy prawem uchu buńczuk z gałką pozłacaną kameryzowaną, a nad czołem ową kitę ze szklannego włosa misternie zrobioną i naczolnik kamieniami drogiemi wysadzany, jak mu włożę na cały kark czepiec srebrny ze złotemi kutasami, a przykryję go dywdykiem złotem tkanym; to wiem, że przed samym koniem wszyscy czapki zdejmować będą.

— Dobrze, to, — rzekł rotmistrz, — koń może być suty, ale moja zbroja stalowa jakto cała zardzewiała; atłas pod burką podarty, jednej klamry u niej nie masz, a wszystkie pióra strusie u szyszaka połamane.

— To się temu zaradzi! — rzekł Kulik, — zbroję wychędożę, podszewkę zaniosę do krawca do wyłatania, i wszystko jeszcze odświeżę, tylkoby nam trzeba dzień dłużej tutaj zabawić.

— Nic z tego nie będzie, — rzekł żywo Ruszczyc, — jaki mam, w takim wystąpię stroju. Suknia żołnierska powinna wyglądać po wojnie jak stara chorągiew: im bardziej zszarzana tem zaszczytniejsza.

Ta myśl uderzyła rotmistrza, i obstając przy niej, rozkazał wybierać się niezwłocznie w drogę. Zaszedł wkrótce karaban; zatknięto w wasąg szablę z jednej a rusznicę z drugiej strony; kopia grotem w tył obrócona przywiązana była według wasąga i sterczała poza koła tylne; za wo-

zem stał Kulik na koniu, trzymając pańskiego konia już stósownie do jego życzenia przybranego. Luzak w barwę przybrany wypełniał obowiązki woźnicy; a gdy wszystko było gotowe, wyszedł rotmistrz, przeżegnał się, pocałował obraz Matki Bozkiej, który na jedwabnej taśmie na szyi miał zawieszony, wsiadł i w dalszą puścił się drogę. —

W domu, do którego Ruszczyc zmierzał, było właśnie głucho i posępnie. Chociaż już kilka niedziel upłynęło od czasu oddalenia się Maryi, ciągle jej żałowano i za nią tęskniono, zwłaszcza od chwili, w której dwór z Żółkwi przeniósł się był do Krakowa. Nadeszły święta Bożego Narodzenia pierwszy raz bez niej przepędzić się miane, i podkomorzyna ciągle na to narzekała, iż się przez te dwa święta nudzić będzie.

Już zastawiono stół do obiadu, przy gwiaździe w wigilią Bożego Narodzenia pożywanego; krzywo stały wszystkie talerze i półmiski dla siana pod obrusem będącego. Pocieszał wszystkich przegłodzonych zapach polewki migdałowej i szczupaków szafranem zaprawnych, już zmówił był modlitwę ksiądz pleban, a podkomorzy zabierał się do łamania opłatka i rzekł z westchnieniem:

— Z kim ona go tam dzisiaj nieboga łamie! — gdy mocne psów szczekanie i tentent koni dał się słyszeć z dziedzińca.

— A, dobrze że teraz przyjeżdża, — rzekł podkomorzy, — póki nie zasiądziem do stołu; kto bądź to bądź, będziemy mu radzi, — i dał znak służącemu, aby wybiegł dowiedzieć się kto przyjechał. Nie zdążył powrócić z oznajmieniem, gdy się drzwi szeroko otworzyły; wykazał się naprzód pęk piór strusich, dalej szyszak, zbroja, burka siwa od szronu i cały rycerz, którego na pół spuszczona przyłbica i szronem pokryte wąsy poznać nie dozwalały. Wszedłszy pozdrowił wszystkich, zdjął szyszak, zbliżył się do podkomorzego, podał mu przyjacielską rękę, a wszyscy poznali Ruszczyca i wydali okrzyk zadziwienia i radości.

Przywitawszy podkomorzego i jego małżonkę, spojrzał Ruszczyc po wszystkich wkoło, obrócił się w lewo, obrócił w prawo, stanął jak wryty, i rzekł zdziwiony:

— A gdzież jest?....

— Nie masz jej, — rzekli razem wzdychając Podkomorstwo.

— Nie masz jej, powtórzył ksiądz pleban.

— A, przez Bóg żywy! — zawołał Ruszczyc, — złowróżbe są wasze twarze... Jam od tyłu kul i dzid ocalał, a ona miałażby....

— Nie, nic takiego, — przerwała podkomorzyna, — Marynia żyje i zdrowa zapewne, ale jej tu niemasz.

— A gdzież tedy? — rzekł żywo Ruszczyc, — czy już za mężem, czy się mnie nie mogła doczekać?

— A, broń Boże, — rzekł podkomorzy, — niezmienna w swoich affektach dochowa ona wiary Panu rotmistrzowi, i zaszczyt, który ją spotkał, spóźni tylko na chwilę, lecz nie osłabi ani zerwie związku waszego.

— Zaszczyt? — zapytał Ruszczyc, — i ten ją przymusił opuścić szanowny i bogobojny dom Waszmość państwa i obcej szukać opieki? to pewno u którego z wielkich panów naszych bawi qua rezydentka.

— Nie, — odpowiedziała podkomorzyna, — toby pannie podskarbiance nie przystało; wyższem jest jej powołanie, bo Marya jest dzisiaj panną dworską królowej.

— Zamyślił się Ruszczyc, pokręcił wąsa i rzekł ponuro:

— Tegom się nie spodziewał.

Podkomorzy korzystał z chwili milczenia, aby zaprosić gościa do zajęcia miejsca; co on uczynił zrzuciwszy z siebie burkę i odłożywszy szyszak i pałasz. Poczem rzekł podkomorzy, prowadząc dalej rozmowę:

— Nie można było odmówić tej łaski królewskiej.

— Król o tem nic nie wie, — odparł Ruszczyc, — boby mi się był radził, czy ja sobie tego życzę, a jabym mu był na to odpowiedział: Nie, Miłościwy Panie! Nie chcę ja żony na dworze królewskim wychowanej.

— A to czemu? zapytała podkomorzyna, — wszakże to najlepsza szkoła do nabycia poloru i światowości.

— I do stracenia szczerości i prostoty, która kobietom przystoi — przerwał żywo Ruszczyc. — Panna podskarbianka i tak już więcej podobno odemnie ma światła, a cóż dopiero gdy się przejrzy na wielkim świecie. Oj źle, to kiedy białogłowa rozumem męża przewyższa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RÓŻA Z TANENBERGU.

POWIEŚĆ STAROŻYTNA

PRZEZ

X. KANONIKA SZMIDTA.

(Ciąg dalszy.)

Gdy razu pewnego siedzieli przy jedzeniu, a właśnie były dane smacznie przyrządzone grzyby. Róża zaś po swojemu zadumana nie brała się do jedzenia, odezwal się węglarz:

— A grzybków! toć takie potrawki państwo chętnie jadają, gdy nam pospolitym ludziom takie rzeczy spowszechnieją, ile że je mieć możem częściej jak panowie. Nie przypomina sobie pani z jaką to radością witałaś je, gdym przynosił koszyczek grzybów do zamku? O ja wiem jak się to państwo za tem ubiega, — na Fychtenbergu pewnieby takie rzeczy przyjęli radośnie, ale ja im tej radości nie zrobię. Tam opatrywał ich w takie rzeczy mój kolega, ale i z tem już koniec. Posyłał przez swoją córkę to jagody, to orzechy, to grzyby, że dozorczynia te rzeczy dla dworu odbierająca, zaznajomiła się z nią, i namawiała dziewczynę do służby. Ale że ta dozorczyni, to istny smok, więc dziewczę nie mogąc wytrzymać, uciekło ze służby, a teraz więc mogą długo czekać niż im tam kto przyniesie. Nawet ten węglarz wyrzekł do mnie, że choćby na kolana klękali, to on im żadnego grzybka nie dostarczy.

Róża wysłuchawsey powieści porwała się ze stołka pełna radości, i krzyknęła:

— Otóż mam już sposób uwolnienia ojca! Przestroję się w odzienie Agnieszki, poniosę grzybów na sprzedanie do zamku, postaram się, żeby mnie sobie upodobała dozorczyni; ona mnie przyjmie do służby, a gdy to nastąpi, to się też znajdzie sposobność służenia ojcu, lub wcale uwolnienia go z więzienia. Ach Boże najłaskawszy, dajże temu pomysłowi swe łaskawe błogosławieństwo i wzrost.

Węglarz biorąc ten pomysł za wyród niedoświadczonej wyobraźni, począł przedstawiać trudności, jakie tu zachodzić mogą i zachodzić będą, ale to wszystko napróżno. Wybiegła Róża z izby spiesznie, w kilku minutach wróciła zupełnie przebrana w suknie Agnieszki, tak że węglarka zaledwo ją poznała. Stary potrząsnąwszy głową, odrzekł:

— No, no, toć to może pójdzie: węglarzówna i węglarzówna z ubioru; ale twarz to nie węglarzównej; po tem poznają panię jak ptaszka po piórkach. Ja wiem jeden sekret, ale się boję, żebym nim nie przyłożył się do jakiego nieszczęścia.

— Do jakiegoż nieszczęścia? A czy może już być większe dla córki nieszczęście jak to, że jej ojciec gnije w więzieniu? Czyż wy to sądzicie, że Bóg nie będzie błogosławił córce powinność ku ojcu swemu wykonywającej? O ja nie sądzę, żeby poczciwy Burchard miał być tak mądrym światowie, i dla tego miał mi wzbraniać wykonania mego obowiązku; ja wiem, że on się swą tajemnicą przyłoży do przestrojenia.

Burchard w istocie zwyciężony wyszedł z izby; a wróciwszy po małej chwili z pęczkiem ziela, roztarł parę listków i nie śmiejąc sam dotknąć się twarzy swej dziedziczki, kazał żonie

pomazać jej twarz sokiem. Co gdy się stało, wszyscy uznali, że teraz sam ojciec nie poznałby swej córy.

— Teraz — mówili, — można się pokusić.

Ułożono przeto, że jeszcze dzisiaj uzbierają smarzów, jutro rano odprowadzi Jagusia pannę za bór, aż do trzech kamiennych krzyżów i tam poczeka na wracającą. Stało się raniutko, jeszcze słońce nie weszło, Róża już była gotową do podróży. Oddawszy się Bogu w opiekę, wsparta wspólną modlitwą Burchardów, ruszyła z Agnieszką ku Fychtenbergowi niosąc koszyk ze smarzami. Stary węglarz gdy za tak idącemi popatrzył, rzekł:

— Dobre dziecię! Jaką ona z siebie czyni ofiarę dla ojca, a jak to chętnie i wesoło! Nie, ja myślę że Bóg jej będzie pomagał w tej świętej sprawie.

ROZDZIAŁ VIII.

Róża stara się o służbę w nieprzyjacielskim zamku.



Róża w towarzystwie Agnieszki, do niepoznania przebrana, przybyła na koniec do boru do owych trzech krzyżów i spostrzegła zamek Fychtenbergski. Żebyś ją był pchnął puginałem, możeby ją nie tak zabolało, jak widok miejsca, gdzie cierpi jej ojciec!

— Mój Boże, może moje ojczysko zamknięte głęboko w której z tych wież! Cóż on też tam robi! O pewnie zmartwienie dogryza wątek życia jego. Może jest złożony chorobą, — może już nie żyje! Ach Boże, jak ja jestem nieszczęśliwą! Poczęła rzewnie płakać. Agnieszka cieszyła ją jak mogła; wreszcie padłszy na kolana gorąco się modliła, żeby Bóg jej zamiarom pobłogosławił:

— Boże miłosierny, kieruj mojemi krokami! Spraw łaskawie ażebym znalazła względy u ludzi, do których idę; wszak Ci wiadomo że nie proszę o to dla próżnych celów, lecz dla uwolnienia kochanego ojca mego!

Pokrzepiona modlitwą, pożegnała się z Agnieszką i udała się samotna ku zamkowi. Gdy przybyła przed zamkową bramę, spostrzegła Kunerycha siadającego na koń, ubranego w zielony suto złotem lśniący ubiór; na głowie biret z kiścią białych i czarnych strusich piór; otoczonego znaczną liczbą myśliwych; wyjeżdżał bowiem na łowy. Na widok okrutnika zadrżała Róża i byłaby niemylnie padła, lecz zdołała jeszcze przybliżyć się do ławy pod bramą będącej, na której siadła. Niezadługo dała się słyszeć myśliwska trąbka, a cały orszak wybiegł skokiem za bramę. Róża powstała przed jadącym Kunerychem, ale on ani raz na nią nie spojrzał.

Siadła, gdy się przesunęli; jakaś bojaźń i ściskanie opanowało ją, — myślała sobie, że najlepiej będzie jeszcze chwilę poczekać aż trochę ochłodnie, a potem dopiero dalej z grzybami. Gdy tak sobie siedzi i przemyśla, zbliża się do niej dwoje dzieci, chłopiec i dziewczę; popatrzyły się z daleka na Różę, a gdy ich ta przywitała, stały się śmielszemi, powiedziały jej swe imiona. Otmar zbliżył się do koszyka obok Róży na ławie stojącego, otworzył i spojrzał co się w nim znajduje. Berta wyciągnęła rączki do kwiatów, które zdobiły kapelusz Róży. Dała jej kilka takowych, a prócz tego po parę gruszek wczesnych, które jej dano na zasiłek w podróży. Ztąd wszczęła się przyjaźń i poufała rozmowa.

Były to dzieci stróża zamkowego, który okienkiem ułatwiającem mu przegląd wchodzących do zamku i wychodzących z niego ludzi, przypatrywał się tej scenie; podobało mu się to mocno, że to obce dziewczę tak grzecznie obchodzi się z dziećmi jego. Przytem chędogi ubiór dziewczęcia, jej dobroduszność, układ, wszystko to ujęło go mocno.

— Tak zgrabnej wieśniaczki w życiu mojem nie widziałem, — wyrzekł sam do siebie i wyszedł do Róży.

— Cóż tam masz moje dobre dziewczę na sprzedanie?

— Oto smarze, mój dobry panie!

— A cóż za nie żądasz?

— A cóż ja mam żądać? Toż pan sam lepiej osądzisz.

— To pięknie od ciebie, że masz do mnie zaufanie, a ja też za to w ten sposób ci się odpłacę, że ja sam poniosę do kuchni i sprzedam jak najdrożej. Ja myślę, że spieniężę korzystnie, bo już dawno nikt nie przyniósł smarzów, a panowie takie rzeczy lubią. A ty wejdź tymczasem do mojej izby, i poczekaj aż ja wrócę. Ja tu wnet będę!

Gdy tak Róża siedziała w izbie stróża rozmawiając z dziećmi, wchodzi żona stróża z obiadem do izby, a zobaczywszy ją, z całym ogniem swej porywczości krzyknęła:

— A ty jakieś tu wlazła fagasie, próżniaku? Kto ty jesteś? Zkąd? Co tu masz do szukania? Jak się ty odważyłaś wejść do cudzej izby? Wynoś się, bo cię psami wyszczuć każę!

Byłaby pewnie pogróżkę uiściła, ale dzieci opanowały ją, i poczęły opowiadać jaka to dobra dziewczyna, jak ona z niemi pięknie rozmawiała, jak Bercie dała kwiatków, jak ich obdarzyła gruszkami i t. d., a tymczasem nadszedł i stróż z próżnym koszykiem i hojną zapłatą.

— I cóż ty się tak gniewasz, moja żono? Jakżeś ty popędliwa! najmniejszego powodu nie ma do gniewu, a ty w jak największym ogniu! Widzisz to jest dziewczę bardzo dobre; już sobie myślałem, żeby to dla nas była bardzo dobra sługa, ale gdyś na nią wsiadła, jak na burą sukę, to pewno gotowa cię o sześć staj mijać. Zresztą wiedz, że ja ją sam wprowadziłem do izby.

— No to co innego, to niechże tu spocznie.

— A ty dzieweczko nie bierz mi tego za złe, żem cię skrzyczała, bo ja to taka prędka, aleć nie taka jak sobie myślisz, żebym była okrutna. A potem toć my z tego żyjemy, żeby nie byle kogo wpuszczać do zamku.

— Ej któżby zaraz tak źle brał, że się ktoś wymówi jak mu tam przywidzenie przyniesie. Pani nie wiedziałaś za czyjem pozwoleniem weszłam do izby, a odemnie było też źle, żem użyła pozwolenia męża paninego, nie trzeba mi było samej siedzieć w cudzej izbie. — Gorliwość pani pochwalam i proszę o przebaczenie mojej nieroztropności.

Takie usprawiedliwienie i taka pokora roz robiła do szczętu złośnicę, która, jak powszechnie ludzie prędcy, jak łatwa do gniewu, nie była zaciętą; jej gniew był podobny do błyskawicy, w jednym momencie świecącej i gasnącej. Udobruchana więc odezwała się do Róży:

— Kiedyś ty tak dobra, iż dzieliłaś się owocem z mojemi dziećmi, słuszna żebyśmy się także z tobą dzielili; siadaj z nami do stołu i jedz.

Róża siadła do stołu, ale mało co mogła jeść, bo dzieci w niej zakochane, nieustannie jej przeszkadzały, ona zaś, aby ująć rodziców, grzecznie im na wszystko odpowiadała. Jakoż osobliwie matka, szczególniej sobie Różę upodobała.

Gdy Róża wstawszy od stołu, zabierała się do powrotu, poczęły dzieci sprzeczać się, prosząc rodziców, żeby tej dobrej dziewczyny nie puszczali, lecz ją na zawsze zatrzymali.

— Słuchajno dzieweczko, — odrzekła żona stróża — mnieby też było równie miło jak tym malcom, żebyś ty mogła u nas zostać, podobasz mi się, możebyś przyjęła u nas służbę?

— O z całego serca! zapewniam was, iż wam wiernie służyć będę.

— To dobrze. Idźże teraz do domu i rozmów się ze swemi rodzicami, a gdy i oni zechcą, to możesz w przyszłą sobotę rozpocząć służbę.

Ułożyła się z Różą o myto, dała jej w koszyk chleba i wędliny, życzyła szczęśliwej podróży. I tak na gderaniu rozpoczęła, a skończyła na dobroduszności. Źle to jest być takim popędliwym, nieumiarkowanym; byle źdźbło rozjusza takich; ubliżą najniewinniejszym, ba nawet najlepiej im życzącemu, a gdy złość ominie, żałują i wstydzą się swej prędkości. Kto taką zna w sobie wadę, niechże się upamięta.

Róża podziękowała za podarunek i pospieszyła ku lasowi, gdzie Agnieszka przy trzech kamiennych krzyżach na nią w cieniu czekała. Spostrzegłszy ta ostatnia wracającą dziedziczkę, poskoczyła naprzeciw niej i rzekła:

— Dzięki Bogu, że pani z powrotem, bez wątpienia jesteś znużoną i zgłodniałą; siądź na tej murawie i posil się mlekiem i pomazką, poczem prosić będę o opowiedzenie, jak tam pani się powiodło.

— Dobra Jagusiu, namby trzeba spieszyć, żeby nas noc nie zaszła w tym borze. Co do posiłku, ja jestem już po obiedzie, wszakże siądę z tobą aż się posilisz, boś ty widzę nic nie ruszyła z naszych zapasów.

— O jeżeli o mnie chodzi, toć ja idąc mo-

gę jeść i pić. — To prawda, ruszajmy dalej; ty możesz idąc usta twoje zatrudnić chlebem i mlekiem, ja zatrudnię cię opowiadaniem jak mi szło na zamku.

Ruszyły tedy bez odpoczynku z powrotem do swej siedziby. Gdy słońce zaszło, spotkały idącego naprzeciw siebie Burcharda z żoną, byli bowiem kłopotliwi oboje o dziewczęta, co ich sercu były tak miłe. Gdy im Róża opowiedziała, jak jej się wszystko w zamku dobrze powiodło, cieszyli się niezmiernie, i na takiej poufnej i wesołej rozmowie zeszła im reszta drogi. Przybywszy do domu, że Róża była mocno zmęczona podróżą, udała się przeto do swojej stancyjki na spoczynek, wprzód przecież zanim się rozebrała, klękła przy łóżeczku, dziękując Bogu, że pierwszy krok jej przedsięwzięcia tak łaskawie błogosławić raczył i prosiła ażeby też równie pomyślnym skutkiem dalsze jej kroki ukoronować zechciał.

ROZDZIAŁ IX.

Służebna.

Najbliższa sobota, w której Róża miała opuścić domek węglarza, była dniem wielkiego smutku dla jego mieszkańców. Było to Róży bardzo przykro opuścić miejsce dotychczasowego pobytu swego, tę przyjemną dolinę i dobrodusznych ludzi, którzy jej prawdziwymi byli przyjaciołmi, a udać się do zamku nieprzyjaciela swej familii, na którego samo wspomnienie zimny dreszcz ją przejmował. Znała też i to, że wstępuje w służbę, w której ją żadna nie czeka swoboda. Wszakże z miłości dla ojca swego postanowiła mężnie, z ufnością w Bogu, spełnić tę ofiarę. Burchard z żoną odprowadzili ją aż za bór, i pożegnali ze łzami, błagając Boga, żeby na żywą ofiarę miłości rodzicielskiej łaskawie spojrzyć i przyjąć ją miłościwie raczył. Agnieszka, która niosła jej zawinięcie z ubiorem, towarzyszyła jej aż do izby stróża zamkowego.

Odźwierna przyjęła obie z radością.

— To dobrze, moja dziewczyno, — mówiła, — że jesteś słowną. Siądźcie, odpocznijcie z podróży.

Róża wyjęła parę wiązków lnu i jako podarunek oddała jej, co ją niezmiernie cieszyło; a więcej jeszcze gdy dzieciom dała po kilka gruszek, orzechów i podobnych owoców. Wszyscy byli zadowoleni i rokowali sobie jak najpomyślniejsze pożycie.

Gdy zjadły obiad, do którego ich odźwierna ochoczo zaprosiła, mając Agnieszka odchodzić, żegnała się z Różą w obfitych łzach.

— No, toć przecież nie płacz jak gdyby twoja siostra szła na stracenie; czasami możesz ją odwiedzić, a gdy przy tej sposobności przyniesiesz grzybów lub coś podobnego, to ci się i podróż opłaci.

Agnieszka przyobiecała z tego pozwolenia korzystać, i wyszła z bramy, zmierzając swe kroki ku domowi. Róża zaś pozostała; zdało się będącej w zamku nieprzyjacielskim, że jest od całego świata opuszczoną, czuła tu wielki ciężar położenia swego, ale smutek natychmiast pierzchnął, skoro sobie wspomniała, że jest bliższą swego ojca.

Po odejściu Agnieszki usadowiła się dozorczyni w krześle stojącem przy piecu, a przybrawszy minę pani, wskazała palcem na ziemię i rzekła:

— Różo! stań oto na tem miejscu, mam ci powiedzieć parę słów, uważaj przeto:

— Ja wiem, że ludzie o mnie źle mówią; mówią, że ze mną nie jest do wytrzymania, że jestem popędliwa, zapalczywa, że w przeciągu lat pięciu miałam około dwadzieścia dziewek, które albo odpędziłam, albo same uciekły. Ale tego nie powiadają, jakie to dziewki były, muszę ci je opisać, a ty osądzisz, że one istotnie były nic dobrego, gorsze jak ja.

Pierwsza nazywała się Brygida, ale fe! ja nie powinnam ich zwać po imieniu, żeby ich sławy nie splamić. Wierz mi, mnie się jej imię tylko tak przypadkiem wyśliznęło; ja chcę ci tylko ich wady powiedzieć. Brygida była dziewczyna pyszna, zarozumiała, chciała wszystko lepiej wiedzieć jak jej pani, zawsze mieć prawdę. Sądźno, nie trzebaż się tu było gniewać? Raz tak mi naleśnik spaliła, że zupełnie na węgiel; a przytem śmiała mi w oczy kłamać, że jest jak najpiękniej zarózony, że na pańskim stole mógłby paradować. Nieszczęsna godzina! człowiek nie jest bez żółci! Wygnałam ją natychmiast z domu!

— Druga była to dziewczyna niczem niezadowolona, wszystko jej było nie na rękę, zawsze posępna, mrukliwa, kwaśna, mówiłabyś, że nieustannie piołun żuje. Zawsze miała coś do przyganienia, to jej strawy nie dość, to nie kraśna, to nie słona, to dość roboty a małe myto. Dobrześ się z nią obchodziła, to ona patrzała jak smok, naganiłaś ją, to niby lew złośliwy! A niech cię tam licho weźmie! Wrzało we mnie długo, aż wreszcie i przekipiało. Urszulo! mówię jej, szukaj sobie służby, gdzie mniej będzie roboty a większe myto i uchodź mi z oczu!

— Trzecia była to żywe lenistwo! Doczekać się nie można było, ażeby co zrobiła; zanim ona garczek umyła, mchem by był porósł; — schylić się było jej trudno, gdy zamiatała izbę, co jabym cztery razy wykonała niż ona raz, porzuciła przy progu miotłę i mogła kilkanaście razy przez nią przestąpić, a nie podniosła jej. Co ranek trzeba ją było budzić i to kilka razy i zwlec ją z posłania; o ja myślę, że gdybym jej była aby z raz nie obudziła, toby do dziś dnia spała. Sama powiedz, cóż jest z takiej służącej?

Mówię jej więc: Kasiu, idź mi, gdzie cię oczy poniosą, jeżeliś i do tego leniwa, to cię na taczkach wywieźć każę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

RARAŚ I SZCZOTEK.

(Ciąg dalszy.)

II.

W Libienicach w owczarni, również Raraś przebywał, lecz tam nazywano go Szczotek. Miał postać małego chłopca, lecz u rąk i nóg miał szpony. Ludzie wiele rzeczy zabawnych sobie o nim opowiadali. Lubił on płoszyć psy, koty i indyki. Parobkom i dziewkom też się sprzeciwiał. Gdy jakie skrytości między sobą mieli, zdradzał je. Czeladź przeto nie była mu życzliwą. Owczarz zaś nic złego czynić mu nie dozwalał, bo odkąd tam był Szczotek, żadna owca nie zachorowała. Zimowe wieczory przesiadywał Szczotek, grzejąc się na przypiecku, a ile razy dziewka przyszła parzyć plewy, tyle on razy z pieca zeskakiwał w kadź, wołając: Hop w plewy!

Jednego razu źle na tem wyszedł. Dziewka jak zwykle przyniosła kadź, lecz nalawszy w nią poprzednio ukropu, na wierzch tylko plew nasypała.

— Hop w plewy! — zawołał Szczotek, lecz w tej samej chwili wyskoczył z kadzi oparzony, jęcząc z bólu. Czeladź się śmiała do rozpuku, Szczotek zaś później zemścił się na dziewce. Zaczaiwszy się bowiem, gdy po drabinie wchodziła na górę, tak ją zaplątał w szczeble, że musiano jej w pomoc przybyć i z biedą ją wydobyto.

Latem sypiali ludzie owczarza na sianie. Jednej nocy przyszedł tam Szczotek, wlazł do połowy na drabinę i drażnił psy, które w podwórzu leżały. Wyciągając ku nim jedną nogę po drugiej, wołał nieustannie:

— Tu noga, tam noga, za którąż mnie uchwycicie? Psy szczekały jak opętane. Jeden z parobków zniecierpliwiony tym hałasem, wstał i wziąwszy snop siana, zrzucił z drabiny Szczotka wraz z snopem. Psy zaraz na niego się rzuciły i tak go przywitały zajadle, że ledwo uszedł cały. Parobek wiedząc, że go zemsta czeka, miał się na baczności i z daleka Szczotka omijał. Nic mu to przecież nie pomogło.

Pasąc jednego razu owce na gruntach gminnych przy łące, usiadł na niej pod stogiem. W tem słyszy szelest nad głową i nim się zerwać zdołał, już zasypany był sianem, które mu się we włosy wplątało. Na krzyk parobka przybiegli kośnicy, lecz mimo mozolnych starań nie zdołali mu siana z włosów wydobyć, tak mocno było z niemi splątane. Biedny parobek musiał sobie kazać głowę ogolić, a skoro potem wyganiając owce na niwę przybył pod gruszę polną na gruntach gminnych stojącą, Szczotek siedział na niej i skrobiąc na palcu marchewkę, wołał: Łysku, łysku, łysku! Ha, ha. ha!

III.

Pewnego chłopa ubogiego spotkało wielkie nieszczęście: Grad tak zniweczył mu zboże, że ani jedno źdźbło nie było całe. Chodząc smutny i blizki rozpaczy po swem polu, spotkał człowieka, który go zatrzymał, pytając się:

— Czy nie chcielibyście mnie wziąść w służbę za parobka?

Chłop spojrzał na niego i rzekł:

Sam nie będę miał co jeść. Tu widzisz mój tegoroczny sprzęt! — To mówiąc, wskazał na pole gradem spustoszone.

— Przyjmcie mnie tylko! — mówił ów człowiek. — Nie pożałujecie tego.

Był to Raraś. — Chłop dał się namówić i przyjął go.

Gdy przybyli do domu, rzekł parobek:

— Gospodarzu, pojadę do młyna!

— A cóż będziesz mełł? Wszak nie masz ani ziarnka zboża! — odrzekł chłop.

— W stodole macie słomę. Dajcie mi tylko dwanaście miechów.

— Jeźli ze słomy coś wymłócić myślisz, nie mam nic przeciwko temu!

Parobek poszedł, porznął słomę na sieczkę i napełniwszy nią miechy, włożył ją na wóz i pojechał. Ciemnego wieczora przybył do młyna. Młynarz miał na składzie dwanaście miechów zboża ukradzionego tym, którzy mu do mielenia dawali; to zboże które chciał rano zawieźć na targ, Raraś przesypał w swoje miechy, a w miechy młynarza sieczkę. Potem zmełł owo zboże, zapłacił od mlewa i pojechał do domu.

(Dokończenie nastąpi.)

OJCZE NASZ.

POWIEŚĆ NAPISANA PRZEZ F. S.

(Dokończenie.)

Pycha i zarozumiałość opanowały serce jego; anioł pokoju go opuścił. Był czas, w którym stawał się przeciwnikiem każdego, nawet samego Boga, w trzos swój dufając.

Z początku modlitwa jego stawała się oschłą, potem zupełnie przestał się modlić; co więcej, nienawidził modlitwy, i podczas gdy drudzy w czasie nabożeństwa klękali i korzyli się przed Panem Bogiem, on chodził po polach i obliczał zyski jakie mu przyniosą.

Smierć żony i dziecka serce mu rozdarła; ale rana serca nie zagoiła się kornem poddaniem się woli Bożej, lecz zaschła i zasklepiła się w gniewnym uporze.

A ten upór, który go od Boga oderwał i chciwości uczynił sługą, był przyczyną jego nieszczęścia i zguby.

Gdy w więzieniu w niedziele i święta, w owej gołej kaplicy pod strażą dozorców był obecnym na mszy św., wtenczas mróz przeszywał mu ser-

ce i z tęsknotą wspominał miły swój i piękny kościołek wiejski, w którym jako dziecko tak chętnie się modlił i tak był szczęśliwym.

Coby teraz był dał za to, gdyby chociaż chwil kilka mógł klęczeć w tym kościółku; a chociażby ani jedna modlitwa nie była mu z ust i serca wypłynęła, już same obrazy: krzyż we wielkim ołtarzu i obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej, wlałyby osłodę do zakrwawionego jego serca.

Nie zawsze jednakże był w usposobieniu tak miękkiem i pojednawczem. Bardzo często odzywała się w nim stara złość przeciwko Bogu i ludziom; nie modlił się, tylko zasępiony spoglądał przed siebie, zagniewany na Boga i wszystko, na czem świat stoi.

Wreszcie wybiła dla niego godzina wolności.

Z dobremi świadectwami i zaoszczędzonym z pracy jego groszem wypuszczono go z domu karnego.

Nogi drżały pod nim, gdy pierwszy raz ujrzał się na wolności, w oczach mu się ćmiło.

Był wolnym ale nie bardzo się z tego radował. Niemiał rodziny, niemiał domu, a na czole wyryte miał piętno zbrodniarza!

Szedł zwolna naprzód, coraz większe czuł znużenie, aż wieczor nadszedł i nogi wypowiedziały mu posłuszeństwo.

Usiadł pod drzewem i zamyślony spojrzał w dal. Tam ujrzał w mgle wieczornej te góry otaczające jezioro, nad którem leżała wioska jego rodzinna.

Tęsknota niewypowiedziana zagrała w jego sercu — do domu, do domu! tak wewnętrzne wołało pragnienie.

Przyszedł wreszcie po długiej wędrówce „do domu:” ale jakże tam smutnie wyglądało!

Jedni udawali że go nie znają, inni patrzeli na niego, zatrząsali i wytykali mu dawniejsze występki.

Spodziewał się tego, że go znajomi przyjmą zimno i bez serca; był na to przygotowanym i uzbroił się w męstwo i cierpliwość; ale mimo to krew się w nim wzburzyła i gniew rumieńcem mu oblał oblicze, gdy widział, że sobie z nim postępują jak z wyrzutkiem spóleczeństwa.

Wyszedł ze wsi, poszedł na cmentarz i usiadł przy grobie żony.

Krzyż drewniany mocno się pochylił, napis na nim zatarł się już prawie zupełnie, grób zapadł i gęsto zarosł zielskiem.

— Ciekawy jestem, — szepnął sobie, opierając rozgorączkowaną głowę na dłoni, — czybyś ty tam pod ziemią odepchnęła mię od siebie, gdybyś jeszcze żyła, a jabym z domu karnego do ciebie powrócił? Myślę, że nie!

Zawsze w życiu byłaś tak cierpliwą, tak dobrą dla mnie, nigdy złego słowa mi nie dałaś, nawet wtenczas nie, gdym dla ciebie był szorstki i gwałtowny! Gdybyś ty mi nie była umarła, możeby dziś wszystko było inaczej, możeby lepiej było zemną!

Oparł głowę o krzyż i zasnął.

Wtem ujrzał we śnie, że nieboszczyca żona wyszła z grobu i usiadła przy nim.

— ...Wszystko znowu będzie dobrze, mężu kochany, ale musisz koniecznie się modlić!... Nie powinieneś był nigdy zapominać o modlitwie i zaniedbywać jej.... To wszystko złe na ciebie sprowadziło!.... Musisz znowu pojednać się z Bogiem.... i z ludźmi także.... i własnemu sercu pokój przywrócić!.... Wszakże ja modlę się za ciebie.... i dziecko twoje, ten aniołek, też się modli za ciebie!.... Nie rozpaczaj, wszystko będzie dobrze!....

Obudził się.

Poczuł, że ktoś rękę mu złożył na głowie.

Przed nim stał pleban.

Przelękniony i z niechęcią nawet spojrzał Andrzej na niego. Był przekonany, że z jego ust właśnie najsurowsze i najboleśniejsze usłyszy zarzuty.

Omylił się jednakże.

Z ujmującą serdecznością podał mu pleban rękę; z oblicza jego tchnęła łagodność i dobroć.

— Nie możesz zapomnieć twej poczciwej nieboszczki żony, — rzekł dobrotliwie; — to pięknie, bardzo pięknie, mój Andrzeju!

Andrzej potrząsł głową.

— Nie, księże proboszczu, w tem nic nie ma dobrego. Jegomość przecież wie, że przychodzę z domu karnego; żywi odepchnęli mię od siebie z pogardą i szyderstwem, uciekłem się więc do umarłych!

Pleban spojrzał smutno.

A więc tak pojmowali w parafii jego miłość bliźniego, — nawet ci, którzy się do pobożniejszych zaliczali! To szczerze bolało gorliwego pasterza.

— I cóż teraz, mój przyjacielu, zamyślasz począć? — zapytał.

Andrzej wzdrygnął ramionami.

— Miałem nadzieję, że służąc jako parobek we wsi mej rodzinnej, będę sobie mógł zapracować na uczciwy kawałek chleba, ale „zbrodniarza” nikt nie chce przyjąć, każdy nim pogardza! Pójdę więc we świat; gdzieś przecież spojrzą na mnie z litością i nie odepchną mię od siebie, tam gdzie miłość bliźniego jeszcze nie wygasła!

Pleban uchwycił rozgorączkowanego za rękę.

— Chodź ze mną! — rzekł przyjaźnie, ale z taką stanowczością, że Andrzej nie śmiał się opierać.

Wieśniacy patrzeli z zadziwieniem, widząc obydwóch, idących pospołem; więcej jeszcze zadziwiły się kobiety, którym nawet z podziwu języki na kilka chwil się zatrzymały i zamilkły.

Wieczorem siedział znowu pleban z Andrzejem w tym samym pokoju i przy tym samym stole jak w ówczas, gdy Andrzej pomoc plebana tak gburowato odepchnął od siebie.

Kapłan przemawiał tak łagodnie, nie dotykając stron drażliwych, że się Marciniak rozrzewnił. O wszystkiem była mowa, tylko nie o domu karnym, ani też o zbrodni, do której go popchnęło pijaństwo i mściwe usposobienie.

W ten sposób zjednał sobie pleban zupełnie biedaka, dla którego nikt nie miał przychylnego i pocieszającego słówka.

— No, jakże myślisz, Andrzeju, — odezwał się znowu pleban wesoło, — gdybyśmy dziś zrobili ten interes, który nam się wtenczas nie udał? Pieniądze, któremi tak nierozsądnie wzgardziłeś leżą jeszcze zachowane. Miałem zawsze jakieś przeczucie, że one właśnie dla ciebie przeznaczone.

— Księże proboszczu, — uśmiechnął się Andrzej boleśnie, — włóczędze, który nic nie ma i niczem nie jest, nie pożycza się pieniędzy.

Pleban spojrzał niechętnie.

— Niesłusznie mówisz, mój bracie! Tyś nie jest włóczęgą, a jeżeli ci ofiaruję pieniądze, to na to, abyś sobie znowu założył ognisko domowe, i abyś poznał, że człowiek pracą i modlitwą szczęście sobie na ziemi już stworzyć może.

To mówiąc wydobył paczkę listów zastawnych.

— Oto masz tu pieniądze; jutro pojadę do miasta i zmienię je. Ty zaś zadzierżawisz torfisko na hubach, i podejmiesz się dostarczenia torfu dla fabryki, która tam już jest na ukończeniu. Najmiesz uczciwych robotników, sam też porządnie weźmiesz się do pracy, a fabryka dobrze będzie ci płacić, i to gotówką. Przy twoim zdrowym rozsądku możesz wnet dojść do czego, tylko mi o modlitwie nie zapominaj! Abyś zaś nie mówił, że z łaski cudzej żyjesz i dorabiasz się, będziesz mi od pożyczonych pieniędzy płacił prowizyą i to dwa od sta. Ale, — dodał, grożąc mu palcem, — żebyś mi co niedzielę i święto był w kościele!

— — — — Andrzej zabrał się do pracy. O mil kilka poszukał sobie po wsiach dobrych i uczciwych robotników, bo z blizka nikt do niego nie chciał przystać, i z nimi codzien nie od trzeciej z rana aż do zachodu słońca rączo pracował. Do wsi nie przychodził, jedynie tylko w niedzielę do kościoła, i trzeba mu przyznać, że chodził regularnie, ale — modlić się nie mógł — serce nie czuło co usta mówiły.

W jesieni zebrał już piękną sumkę. Pieniądze zanosił do proboszcza na schowanie, a ten za nie kupował papiery, bo kasy oszczędności w mieście nie było, i procenta płacił punktualnie i z pewną dumą.

Tak upłynęło lat kilka. Andrzej był zawsze zarówno pilny i trzeźwy, a pieniądze jego rosły, chociaż sam nie wiedział, ile właściwie już zaoszczędził.

Raz jeden jeszcze przystąpił do niego kusiciel.

Jeden z robotników z miasta namawiał go, aby grał w loteryą, bo znajomy jego wygrał właśnie dwa tysiące talarów. Zapłacić kilkanaście złotych za udział w losie, to fraszka, a za to zysk nielada, gdy się posypią tysiączki — ktoś przecie wygrać musi! Pokusa ta była zanadto ponętna.

Poszedł do proboszcza i poprosił o pieniądze, powiadając otwarcie, na co ich chce użyć.

Proboszcz potrząsł głową.

— Ani fenyga! — rzekł stanowczo. Gracz jest człowiekiem nieszczęśliwym, a potem staje się złym. Niech ci to wystarczy, na co zapracujesz i na czem spoczywa błogosławieństwo Boskie. Gdybyś wygrał, natenczas nie miałbyś z tego moralnej korzyści; bo zysk z loteryi jest zyskiem niezarobionym; zresztą zwykle tak bywa: jak kto łatwo zyska, tak też łatwo straci. Mało jednakże jest tych, którzy wygrywają, więc jeżelibyś nie wygrał, co jest prawdopodobniej-

sze, natenczas byś się roznamiętnił, stracił chęć do pracy, i mógłbyś z chciwości zostać łotrem.

VIII.

ALE NAS ZBAW ODEZŁEGO. AMEN.

Było to w początku września.

Dziesięć lat minęło od czasu, gdy Andrzej powrócił z domu karnego. Przez ten czas wiele się zatarło. Zapomniano o jego przeszłości i nawet polubiono ogólnie cichego starca, który skrzętnie pracował i życie wiódł bez przygany, tak że nawet najjadowitszy język babski nic na niego nie mógł powiedzieć. Polubiono go też dla dobrego jego serca, gdy pierwsze zaoszczędzone pieniądze obrócił na sprawienie nowego krzyża na grobie żony i na utrzymanie i pielęgnowanie grobu. Chodził też pilnie do kościoła.

Wiedzieli to ludzie bardzo dobrze, że gdy jeszcze był gospodarzem, przez cały rok nie pokazywał się w kościele, że pacierza nie mówił, że nawet publicznie drwił z modlitwy, a teraz tak się zmienił.

Był pracowity i trzeźwy. W dni powszednie niezmordowany był w pracy, w niedzielę zaś nie tknął roboty. Nie chodził też do karczmy. Stracony to czas, mawiał zawsze, który się spędza w karczmie za stołem, i niejeden człowiek chociaż trzeźwy, więcej byłby wart w oczach Boga, gdyby wcale karczmy nie zaznał.

Tak żył przez te lat dziesięć, i wszystko byłoby dobrze, gdyby tylko na jedno się był mógł zdobyć: na szczerą i serdeczną modlitwę. Chciał się biedak modlić, ale nie zdołał. Czuł posuchę i czczość w sercu, i w żaden sposób ożywić tego serca nie mógł.

To go bolało, to mu sprawiało niewypowiedzianą gorycz, bo czuł dobrze, że ta czczość duszy słuszną jest karą od Boga za to, że gdy w onczas piorun spalił mu budynki, on przysiągł że nigdy już modlitwa nie postanie mu na ustach.

Teraz gdy znowu chciał się modlić, nie dał mu Pan Bóg łaski do tego. Ślęczał nad różańcem, nad książką do nabożeństwa, ale wszystko daremnie; zdawało się mu, że sieje pszenicę na opokę.

To sprawiło, że się stawał coraz smutniejszym.

Wtem znikł naraz Andrzej i nikt nie wiedział, gdzie się podział. Rozmaicie ludzie o tem gadali, rozmaite szerzyli domysły; niektórzy nawet coś złego przypuszczali. Jeden najwięcej bolał nad tem zniknieniem Andrzeja, a tym był proboszcz.

Wreszcie po dwóch tygodniach zjawił się znowu Andrzej we wsi; wszedł zwolna przez wieś, nie zważając na ciekawe spojrzenie mężczyzn i kobiet, a wszedł prosto na probostwo.

— Jegomość, — rzekł do księdza, teraz wszystko się naprawiło, jak mi nieboszczyca żona we śnie przepowiedziała. Teraz znowu modliłem się tak szczerze i serdecznie, jak za dni pierwszej mej młodości. Tego tylko mi jeszcze było potrzeba do zupełnego spokoju duszy. Był czas, gdziem się z tego wyśmiewał, ale ostatecznie nędza mej duszy kamieniem ciężyła mi na sercu. Niewiedziałem sobie rady. Wreszcie zerwałem się w nocy i boso poszedłem do Częstochowy. Jegomość wie, że to potężny kawał drogi i nogi miałem skrwawione i pokaleczone, gdym doszedł do celu; ale na to wszystko nie zważałem. Pod wieczór przyszedłem do kościoła. Ukląkłem w kąciku i złożyłem ręce; było mi jak gdyby nieboszczyca była przy mnie i dodawała mi pociechy. Modlić się jeszcze nie mógłem; ale już mi coraz lżej było na sercu, jak choremu, który po długiej niemocy zaczyna przychodzić do zdrowia. Ludzie tymczasem wyszli z kościoła, a ja oparty o filar usnąłem znużony. Przebudziłem się, gdy już nikogo nie było w kościele, a kościół zamknięto, zapomniawszy o mnie w kąciku; promień jasny księżyca padał na ołtarz — usnąłem powtórnie i śniło mi się, że po tym promieniu schodzi nieboszczyca do mnie z nieba. Położyła mi rękę na sercu; nic nie mówiła, ale patrzała na mnie tak miło i słodko jak jeszcze nigdy. Z rana przebudziłem się, gdy jeszcze nikogo nie było w kościele. Z razu nie miałem odwagi wnieść oczu i leżałem krzyżem na ziemi, ale gdy ludzie się zebrali, wyszła pierwsza msza św., i cudowny obraz odsłonięto, wtenczas wyrwało mi się z serca.

— Pomnij o najdobrotliwsza Panno Maryo ......, i łzy potoczyły się strumieniem, i mógłem się modlić i byłem szczęśliwy.

Zamilkł na chwilę i otarł łzy z oczu.

— Od tej chwili, — rzekł zamyślony, — palec łaski Boskiej poruszył me serce. Modli-

łem się i nie mógłem skończyć — ach, jakie to szczęście! Bogu niech będą za to dzięki!

— — — — — — — — — — —

Tu przy jeziorze mały stoi domoczek biały schludny; okiennice ma zielone, a na każdem oknie różnobarwne w doniczkach kwitną kwiaty. Dom otoczony jest pięknym ogródkiem, w którym lewkonie i rezedy miłą w koło szerzą woń.

Taka tu miła panuje cisza, że widocznie błogosławieństwo Boże spoczywa na tym domku.

Tu w samotności mieszka „stary ojciec," jak we wsi Andrzeja Marciniaka nazwali.

Zawsze uprzejmy i miły, dla każdego grzeczny, pozyskał sobie ogólny szacunek. Twarz jego pogodna świadczy o spokoju wewnętrznym — codziennie chodzi na cmentarz, by pomodlić się na grobie żony, codziennie chodzi do kościoła, z różańcem w wątłej dłoni.

Nie lubi wiele mówić. Tylko wieczorami, gdy słońce zachodnie niebo złotą powlecze purpurą, a fale jeziora zdawają się usypiać, zbiegają się dzieci ze wsi do „starego ojca."

Wtenczas zasiada on pod jabłonią, a dzieci naokoło niego się tulą. On ich uczy modlitwy.

Postawił sobie to zadanie przy schyłku życia, aby młodociane serca prowadzić do Boga.

I wiele tem zdziałał dobrego, czego nie dostrzeże wprawdzie oko ludzkie, ale widzi oko Boże.

Umarł w podeszłym wieku.

Wszyscy nad jego grobem zapłakali mianowicie zaś dzieci. „Starego ojca" wspominają i błogosławią we wsi do dnia dzisiejszego.

(Koniec.)

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Przez długi czas toczyły się wojny między nimi a konfederacyą „pięciu narodów", lecz za wstawieniem się Anglików zawarto pokój (1750), od którego to czasu byli sprzymierzeńcami tychże przeciw Francuzom. Pomagali przy zajęciu twierdzy Fort du Quesne (1758), lecz nadużycia, których się podczas powrotu dopuszczali w osadach nadgranicznych Virginii, były przyczyną zabicia dwóch czy trzech ich wojowników. Cherokees'y zaprzysięgli zemstę i poczęli napadać i niszczyć osady w Virginii. Trwało to przez trzy lata, po którym to czasie zawarto pokój. Podczas wojny rewolucyjnej sprzyjali Anglikom i przez 8 lat niepokoili mieszkańców dwóch Carolinów. Dopiero po traktacie w r. 1791 zawartym, poprzestali kroków nieprzyjacielskich. W roku 1812 pomagali Stanom Zjednoczonym w wojnie przeciw Creek'om. Cywilizacya robiła pomiędzy nimi dobre postępy, a gdy ich później wysłano po za rzekę Mississippi, byli już dobrymi rolnikami i rzemieślnikami. Zakładali potem szkoły, posiadają prasę drukarską, wydawają czasopismo i zresztą są najbardziej ucywilizowanym narodem indyańskim. Mieszkają w żyznej okolicy w terytoryum indyańskiem, przez

którą płynie rzeka Arkansas i rzeki jej poboczne i liczą prawie 15,000 dusz. W ogóle panuje pomiędzy nimi dobrobyt.

Uchees'y. W pięknej krainie nad rzeką Savannah, wzdłuż rzeki Ceona i w pobliżu źródeł rzek Ogeechee i Chattahoche — na zachód miasta Augusta aż do Milledgeville w stanie Georgia, znaleźli Europejczycy szczątki po potężnym kiedyś narodzie Uchees'ów. Mowa ich była szorstką i wcale niepodobną do innych narzeczy indyańskich. Twierdzili, że są potomkami najdawniejszych mieszkańców Ameryki, i są dumnymi z tej przyczyny; nie mieli żadnej tradycyi, iż zamieszkiwali kiedyś inny jaki kraj, oprócz tego, w którym Europejczycy ich znaleźli. I oni zostali popędzeni przez cywilizacyę po za rzekę Mississippi i spoili się z narodem Creek'ów, pomiędzy którymi kilka set ich może się jeszcze znajduje. Mowa ich zaginęła i można ich policzyć do plemion zagasłych.

Natches'y. O znacznem tem kiedyś plemieniu, które mieszkało nad rzeką Mississippi tam, gdzie się teraz znajduje miasto Natches, mało mamy wiadomości. Gdy Francuzi ich odkryli, zamieszkiwali wielki obszar nad rzeką Mississippi — dolinę nad rzeką Pearl aż do wyższych wód rzeki Chickasahaw. Utrzymywano z początku że należą do plemion Mobile ich ze wszech stron otaczającego, lecz mowa ich zupełnie odrębna udowodniła, że są plemieniem osobnem. Indyanie ci czcili słońce, z czego niektórzy wnioskują, iż musieli żyć w ścisłej styczności z czcicielami „wielkiego światła" w środkowej i południowej Ameryce. W wielu przymiotach przewyższali swych sąsiadów i okazywali, że kiedyś posiadali dość wielką oświatę. Francuzów nie lubili wcale i sprzysięgli się z innymi narodami na ich wytępienie. Francuzi dowiedziawszy się o tem, napadli ich niespodzianie i zniszczyli prawie zupełnie (1730). Cios ten zgnębił ich zupełnie, a po 100 letniej jeszcze wegetacyi, zaginęli w związku Creek'ów, pomiędzy którymi żyje może z 200 jeszcze. Mowa ich właściwa nie jest już znaną.

Plemiona Mobile. Mobilianie, tak samo jak Iroquois'y i Algonquin'i składali się z znacznej liczby szczepów, mówiących różnemi narzeczami jednej i tej samej mowy. Kraj ich rozciągał się od zatoki meksykańskiej i morza atlantyckiego, aż do rzeki Mississippi (600 mil szerokości), po nad rzeką tą aż do ujścia rzeki Ohio, i nad Atlantykiem aż do przylądku Cape Fear. Obszar ten zajmował większą część dzisiejszego stanu Georgia, cały stan Florida, Alabama, Mississippi i części południowej Caroliny, Tennessee i Kentucky. Naród ten był podzielony na trzy większe plemiona: Muscogees'ów, czyli Creek'ów, Choctaw'ów i Chickasaw'ów.

Związek Creek'ów rozciągał się od oceanu atlantyckiego aż do wyżyn rozłączające rzeki Alabama i Tombigbee, włącznie części Alabamy, Georgia i całego stanu Florida.

Yamassowie czyli Savannahs'y w Georgii i południowej Carolinie, jako i Seminoli w Floridzie należeli do konfederacyi Creek'ów; ci ostatni stali w roku 1715 na czele związku, którego celem było wytępienie Europejczyków. Gdy przedsięwzięcie to się nie udało ubiegli Yamassowie do Hiszpanów znajdujących się wtenczas w dzisiejszym stanie Florida. Małe bandy niepokoiły czasem osadników w Georgii, lecz w czasie gdy wybuchła rewolucya cała konfederacya Creek'ów trzymała stronę Anglików.

Seminoli byli zawsze najzaciętszymi i najbardziej zdradzieckimi wrogami Europejczyków; wraz z Yamassow'ami urządzali często wyprawy, aby „zabijać" białoskórców. W r. 1812—1814 sprzymierzyli się z Anglikami, a w r. 1817 rozpoczęli na nowo kroki nieprzyjacielskie; jen. Jackson pobił ich atoli, wskutek czego zachowywali się spokojnie aż do r. 1835, kiedy znów poczęli napadać osadników. Po utracie wielu żyć ludzkich i wielkich sum zdołano ich nareszcie ujarzmić w r. 1842. Niektórzy z nich pozostali w lasach Florydy; większa zaś część wraz z innemi plemionami należącemi do konfederacyi Creek'ów wyniosła się po za rzekę Mississippi. Właściwi Creek'owie liczą przeszło 14,000 głów a z innymi pobratymcami do 25,000. Mieszkają w Indian ter. i należą do najspokojniejszych i najporządniejszych Indyan.

Choctaw'owie mieszkali na zachód Creek'ów w przepysznej krainie rozciągającej się od zatoki meksykańskiej aż do rzeki Mississippi. Europejczycy znaleźli ich rolnikami, którzy się ograniczali na obronie własnego kraju. Z sąsiednimi Hiszpanami, Francuzami i Anglikami nie mieli nigdy zatargów. I oni musieli się wynieść na zachód i mieszkają obecnie w terytoryum indyańskiem. Liczba ich wynosi przeszło 13,000.

Plemię Chicasaw'ów mieszkało nad rzeką Mississippi na przestrzeni położonej pomiędzy posiadłościami Choctaw'ów i rzeką Ohio i od rzeki Tennessee aż do posiadłości Cherokees'ów i Shawnees'ów. Wojowniczy ten lud zaprzyjaźnił się z Anglikami i był najzaciętszym nieprzyjacielem Francuzów, którzy dwa razy do ich posiadłości wpadli (1736—1740). Podczas rewolucyi byli Chickasaw'owie także przyjaciołmi Anglików, lecz od tego czasu utrzymywali przyjazne stosunki z rządem Stanów Zjednoczonych. Pozostało ich niezupełnie 4,000, którzy mieszkają w terytoryum indyańskiem.

Dahcotah'sy czyli Sioux'owie. Francuzi pierwsi zbadali okolice leżące nad rzeką Mississippi, od jej środka aż do źródeł; na zachód tej rzeki znaleźli wiele plemion mówiących różnemi narzeczami jednej i tej samej mowy. Sioux'owie zamieszkiwali wielką przestrzeń od rzeki Arkansas w południu aż do rzek wpływających do jeziora Winnipeg w północy i na zachód rozciągali się aż do gór skalistych. Byli podzieleni w cztery wielkie

narody: Winnebagów, zajmujących kraj pomiędzy rzeką Mississippi i jeziorem Michigan; Assiniboin'ów czyli właściwych Sioux'ów, przebywających na północy, Minetarees'ów w Minnesocie i południowych Sioux'ów, którzy zamieszkiwali kraj pomiędzy rzekami Arkansas i Platte a na zachodzie graniczących z górami skalistemi.

Najniespokojniejszem plemieniem byli Winnebagowie, którzy często prowadzili walki z Sioux'ami mieszkającymi na zachodzie rzeki Mississippi. Gdy prawie zupełnie zostali zniszczeni przez Illinois'ów (1640) byli spokojnymi i żyli na stopie przyjaznej z Algonquin'ami. Podczas walki o niepodległość połączywszy się z Sacs'ami i Fox'ami, sprzeciwiali się Amerykanom o ile tylko mogli. Obecnie pozostało ich kilka tysięcy, którzy przebywają w Dakocie i Minnesocie.

Assiniboin'owie mieszkają jeszcze w dawnych swych posiadłościach na północy, lecz ponieważ się odszczepili od głównego plemiona, nazywają ich inni Indyanie buntownikami. Z nimi graniczą właściwi Sioux'owie, których Francuzi odwiedzili w r. 1660; należą do najdzikszych i najbardziej wojowniczych plemion z całej Ameryki. Nie tak dawno temu, bo w r. 1876, dali się pod dowództwem naczelnika Sitting Bull w znaki oddziałowi amerykańskiemu, który zupełnie znieśli w Czarnych Górach, przy której to okazyi poległ jenerał Custer. Pozostało ich obecnie 14,000—15,000.

Bardziej na zachód mieszkają Minetarees'i, Mandani i Crows, tworzący jedną grupę; liczą ich także do Sioux'ów, lecz narzecze ich ma mało podobieństwa z narzeczami Sioux'ów i Dahkotów. Minetarees'i i Mandani liczą razem do 5000 dusz; są rolnikami i żyją po wsiach. Crows są plemieniem koczującem i myśliwcami; jest ich cokolwiek więcej nad 1000 głów. Mandani mają bielszą cerę, jak inni Indyanie i wielu twierdzi, że są potomkami kolonistów walijskich, którzy podobno w XII stuleciu pod naczelnictwem Madoka, walijskiego księcia, do Ameryki przybyli.

Południowi Sioux'owie składali się z następujących szczepów: Arkansas'ów, Osages'ów, Kansas'ów, Missourów, Otoes'ów, Omahas'ów i Puncahs'ów. Trudnili się rolnictwem i myśliwstwem; pół roku przebywali w swych wioskach, poczem drugą połowę roku przebywali na łowach; najpotężniejszymi z nich i posiadającymi najlepszego ducha wojowniczego byli Osages'i. Wszystkie te szczepy mają obecnie swe rezerwacye.

Plemiona najbardziej zachodnie. Historya plemion mieszkających dawniej w Californii i Oregonie jest mniej znaną. Najbardziej wojowniczymi z nich są Comanches'y i Apaches'y, którzy z Californii zostali przeniesieni do rezerwacyi w New Mexico i Arizonie, zkąd w ostatnich czasach pod przewodnictwem takich naczelników jak Vittorio, Nana i Geronimo robili częste wycieczki i wyprawy na osadników białych w powyżej wymienionych terytoryach i w Meksyku, dopuszczając się różnych gwałtów, morderstw itd. Na wielkich płaszczyznach aż do gór skalistych mieszkali Pawnees'owie, którzy byli licznymi, lecz nie wojowniczymi; Utahs'owie byli także dość licznymi. Bardziej na północ i zachód mieszkają jeszcze Blackfeet —, Crow —, Snake —, Nez percés — i Flathead Indyanie, oprócz wielu pomniejszych szczepów. Posiadłości ich rozciągały się aż do krajów Knisteneaux'ów i Eskimos'ów na dalekiej północy.

Wszystkie te plemiona ustępują przed cywilizacyą i zaginą wkrótce. Kosa ludzkiego postępu przerzedza wciąż ich szeregi i wnet nadejdzie czas, kiedy nie będzie ani śladu po Indyanach w wielkiej rzeczypospolitej Stanów Zjednoczonych. Na Indyanina przybywającego z po nad wybrzeży wielkiego jeziora niewolniczego (Slave Lake) w północy do miast i miasteczek w Dakocie i Montanie będzie się patrzało z takiem zadumieniem, z jakiem dzisiaj patrzą mieszkańcy Nowego Yorku na niewiastę z plemiona Oneidów, która okryta jasną swą derą, przychodzi sprzedawać swe wyroby perłowe i tym podobne.

(Dalszy ciąg nastąpi).